

Kokietowałam, bo nie miałam urody

Sylwetka

Legenda polskiego kina i teatru **Anna Polony** właśnie rozstała się ze Starym Teatrem. Po 50 latach pracy. Odchodzi w geście sprzeciwu wobec stylu tworzenia teatru przez nową dyrekcję

Jolanta Ciosek
redakcja@polskatimes.pl

Nie chcę rozmawiać o Starym Teatrze, bo to dla mnie bardzo smutne i bolesne. Podobnie czułam się podczas rozwodu przed wieloma laty. Dziś lubię wspominać młodość i pierwsze lata krakowskiej szczęśliwości - zapowiedziała aktorka na samym początku. I tak będzie. Bo ten tekst to historia jej życia.

Anna Polony jest rodowitą krakowianką, choć dziadek był z pochodzenia Węgrem. Przez wiele lat mieszkała niemal w sercu Krakowa w mieszkaniu, w którym przed wojną rodzice prowadzili zakład inroligatorski. Po okupacji mama go zlikwidowała. Nie znała swojego ojca, urodziła się bowiem po jego śmierci, ale wie, że gwałtowny charakter: buntowniczość, wybuchowość, a także ambicje, właśnie po nim odziedziczyła. - Moja mama była bardzo silną osobowością. To ona scalała całą naszą rodzinę. Dom zawsze był miejscem, w którym czuliśmy się otoczeni miłością, opieką i mieliśmy poczucie stabilności. Nawet jeśli nie było poczucia bezpieczeństwa - bo czasy okupacji, potem komunizmu temu nie sprzyjały - to mama zawsze stwarzała wokół siebie niezwykłą aurę. Była surowa, ale dla mnie wyrozumiała. Od czasu do czasu dostawałam od niej lanie lub stosowała inne kary, żeby mnie poskromić. W dzieciństwie nic nie zapowiadało mojego diabelskiego charakteru - zarzeka się aktorka.

Jaki diabeł? To grzeczna dziewczynka była

Była grzecznym dzieckiem, wszystkiego się bała. Nawet pójścia do szkoły. - Pamiętam ten pierwszy dzień: strasznie płakałam. Uspokoiła mnie dopiero nauczycielka, kiedy zarządziła śpiewanie piosenki. I tam, w pierwszej klasie podstawówki, zaczął się mój romans ze sceną. „Idzie, idzie dziadziusiwy, / poprzez łąki, poprzez niwy, ma na plecach wór. / Idzie, idzie do tej chatki, gdzie mieszkają grzeczne dziatki, dla niegrzecznych wzór” - jak się łatwo domyślić, to wierszyk o Świętym Mikołaju.

Później była scena kameralna Teatru Słowackiego, w którym grała po szkole, przez cztery lata. - Właśnie tam zagrałam pierwszą moją prawdziwą rolę dramatyczną w sztuce mojej koleżanki Romy Ligockiej „Dwa razy

południe”. W Słowackiego byłam też Janielką w „Królowej przedmieścia” i Marcysią w „Don Juanie” reżyserowanym przez Bohdana Korzeniewskiego. W Słowackiego, a potem w Starym byliśmy razem z Markiem Walczewskim. W 1961 r. wzięliśmy ślub. Byliśmy razem do 1974 r. On szalony, ja szalona - widać za dużo było tego szaleństwa, jak na jedno małżeństwo. Nigdy potem nie wyszłam za mąż, bo ślub kościelny jest tylko jeden.

Ale najpierw była przecież szkoła teatralna - najpiękniejsze lata, zdaniem aktorki. Czas, kiedy nie masz już, jak w gimnazjum, narzuconych przedmiotów, których niekoniecznie chcesz się uczyć, czas już rozluźnionej dyscypliny domowej... - Co tu dużo gadać, młodość zawsze człowiek wspomina najmilej. Nie, nie chciałam w młodości przewracać świata do góry nogami, jak to często próbuje młodzież. Zawsze byłam humanistką, lubiłam poezję, chciałam opowiadać o swoim widzeniu świata, o postrzeganiu życia, o szukaniu odpowiedzi na pytania, które mnie dręczą.

Jakie pytania dręczyły młodziutką studentkę?

Dlaczego. Dlaczego żyjemy, dlaczego cierpiemy, dlaczego musimy umrzeć. W szukaniu odpowiedzi na te pytania pomagali jej wspólni przedwojenni profesorowie, wielcy aktorzy, m.in. Wacław Nowakowski, Władysław Woźnik, Mieczysław Kotlarczyk - twórca słynnego Teatru Rapsodycznego, Maria Malicka, Halina Gallowa.

To oni uczyli elegancji, klasy, wyraziste słowa, gestu. - Jakże to wszystko było inne od dzisiejszego wariackiego teatru, w którym słowo nie ma swojej wagi, a tekst wielkiego dramaturga nie jest szanowany przez reżyserów. Nie wspominając już o urodzie obyczajowej, która praktycznie odeszła w zapomnienie.

Te wspomnienia lat szczęśliwych coraz częściej do niej wracają. Są niezwykle żywe, radosne, ciepłe i kolorowe. Bo szkoła to nie było tylko zdobywanie wiedzy o zawodzie, świecie. To także były szalone lata wspaniałych zabaw. - No przecież nasz rok był nie tylko zwariowany, ale i towarzyski, wystarczy, że wymienię między innymi Jurka Bińczyckiego, Marka Walczewskiego, Tadeusza Kwintę, Janusza Zakrzewskiego czy Olę Górską. Wspaniałe lata w cudownym towarzystwie.

Anna Polony nie kryje, że zawsze bardzo lubiła życie towarzyskie. W domu często bywali goście, a podczas rodzinnych obiadów królowała słynny krupnik. - W młodości uwielbiałam towarzystwo. A że miałam kompleksy z powodu braku urody i chciałam się podobać, więc kokietowałam panów, by być zauważoną. Lubiłam też włóczęgi po Krakowie, całonocne rozmowy w SPATIF-ie. Tylko do wódki byłam kiepskim kompanem: dwa kieliszki zwałały mnie z nóg - nie ukrywa Anna.

Jak wiedzą przyjaciele, znajomi i studenci pani profesor, jej charakter nie jest łatwy. Po raz pierwszy pokazała rogi w liceum. - Z całej czwórki rodzeństwa największym wulkanem był brat, prokurator. Natomiast pewności siebie nabrałam w szkole teatralnej, jako zdolna studentka, a potem w zawodzie, kiedy poczułam, że jestem cenioną aktorką. Wtedy na dobre ujawnił się mój charakter.

- Hanka jest osobą zupełnie wyjątkową - mówi Józef Opalski, pedagog i reżyser. - Rozkoszna w swoich awanturach, cudowna na scenie, uwielbiająca studentów. Mat-



► W młodości uwielbiałam towarzystwo. Lubiłam też włóczęgi po Krakowie, całonocne rozmowy w SPATIF-ie

kowała im w chorobie i... ochrzaniała ich fundamentalnie. Ma cudowne poczucie humoru na swój temat. Jest kłębówiskiem sprzeczności.

Jest jak smoczyca. Gdy jest zadowolona, lekko faluje ogonem

- W szkole teatralnej to się pani Ani bardzo bałam - mówi z kolei aktorka Sonia Bohosiewicz. - To była moja najstarsza pani pedagog; często powodowała, że płakałam. Krzyczała na przykład, że jestem za wysoka, że mam być niższa, jak do mnie mówi. Nawet nauczyłam się trochę przykucać... A potem się okazało, że prof. Polony jest po prostu cudownym człowiekiem - o czym mogłam się przekonać, gdy grałyśmy w Krakowie i w Katowicach w „Twórcach obrazów”. Jak sądzę, pani Ania bardzo chciała, żeby się jej studenci bali; A jest tak kruchą istotą o gołęmb sercu.

I wyznaje: - Tak naprawdę pani Ania jest smoczyką, która ma wirtualny ogon i jak jest zadowolona, to nim lekko faluje, a jak jest zdenerwowana, to energicznie uderza nim o podłogę. Ale trzeba dostać od pani Ani przyzwolenie, by ten ogon zobaczyć.

Miłość do teatru Anna Polony wyniosła z domu. Mama kochała teatr, siostra Zofia marzyła o zawodzie aktorki i tę miłość przełała poniekąd na Annę.

- Mama przyjaźniła się z panią Bronisławą Janikowską, świetną suflerką, która jeszcze mnie suflerowała. Jako ośmiolletnią dziewczynkę zabrała mnie do Teatru Słowackiego na przedstawienie o wojnie „Dom pod Oświęciami” Tadeusza Hołuj. Grała w nim wielka aktorka Aleksandra Śląska i Tadeusz Kondrat, ojciec Marka. Mam w oczach obraz: siedzą na scenie i nagle wchodzi mężczyźni w mundurach. Przestraszyłam się, ale ten świat sceniczny wy-

Jestem już mocno dojrzałą kobietą i chcę się trochę na scenie zabawić. Znow zagram rolę tytułową, czyli... arszenik

dał mi się fascynujący. Podobał mi się bardziej niż ten prawdziwy.

Po latach spędzonych w „Słowaku” aktorka związała się ze Starym Teatrem, tworząc w nim wybitne kreacje w spektaklach m.in. Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego czy Kazimierza Kutza. Była niezapomnianą Muzą w „Wyzwoleniu”, Idalią w „Fantazym”, Rachelą w „Weselu”, Ofelią w „Hamlecie” oraz Selmą w „Twórcach obrazów”.

Rolą Orcia w „Nie-Boskiej komedii” w reżyserii Konrada Swinarskiego zaistniała jako znakomita aktorka. Była z reżyserem za przyjaźniona, a o jego teatrze tak dziś mówi: - Jego przemyślenia wynikały z głębokiej analizy tekstu, z doświadczeń człowieka XX w. i ze znajomości historii. On wkładał w swoje spektakle całą swoją duszę i całe serce. Swoją miłość do Polski, którą wybrał na ojczyznę. Kochał nas z naszymi zaletami, wadami. Obecny teatr, w ogóle sztuka współczesna, z lubością pokazuje brzydotę świata i człowieka, a człowiek i świat mają dwie strony: piękno i brzydotę. I teatr winien pokazywać tę dwoistość. Bez niej jest ubogi. Teatr może być poszukujący, prowokujący, nawet bolesny - taki był przecież między innymi teatr Kantora, Grotowskiego i również Swinarskiego - ale nie chamski, brutalny, poniżający i obrażający. Konrad prowokował niektórymi sytuacjami scenicznymi, ale to była prowokacja intelektualna, a nie dla wywołania skandalu.

W pamięci wielu widzów do dziś pozostaje jako neurotyczna Dulska w spektaklu teatralnym i serialu telewizyjnym „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Rewelacyjna w spektaklu „Król umiera, czyli ceremonie” i w filmie „Rewers”. W tym ostatnim stworzyła niezapomnianą kreację. Przez wiele lat była pedagogiem w krakowskiej PWST, gdzie pełniła także funkcję prorektora.

Po 53 latach od debiutu, znow ujrzymy Annę Polony na scenie, ale tym razem... Teatru Słowackiego. Tam właśnie aktorka rozpocznie w nowym roku próby do świetnie napisanej i zabawnej sztuki „Arszenik i stare koronki”.

- Przez całe życie krzyczałam ze sceny o ludzkim dramacie w sztukach Szekspira, tekstami Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Wyspiańskiego. A teraz jestem już mocno dojrzałą kobietą i chcę się trochę na scenie zabawić. Jak za dobrych czasów, znow zagram rolę tytułową, czyli... arszenik. No bo przecież nie stare koronki! Wracam na deski Słowackiego, bo jak widać, stara miłość nie rdzewieje. ●

Anna Polony
w tamtym roku odebrała nagrodę Mistrza Mowy Polskiej, na Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Telewizji „Dwa Teatry” w Sopocie uhonorowano ją Wielką Nagrodą za całokształt osiągnięć